



Trudniej skończyć,
niż zacząć



Ze zbiorów przygód i dumań
dobrego rodaka

Grzesia Polaka

www.grzesiopolak.com
www.grzesiopolak.pl

Trudniej skończyć, niż zacząć

Tekst:

Adam Ciesielski

Ilustracje:

Szczepan Sadurski
fotolesnik (Fotolia.com)
ZaZa studio (Fotolia.com)

Ilustracja tytułowa:

ZaZa studio (Fotolia.com)

Copyright © grzesiopolak.com



Teksty, zdjęcia i rysunki (dalej: „Utwory”) zawarte w tej publikacji objęte są licencją Creative Commons: Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Unported. W celu przeczytania pełnego tekstu praw autorskich kliknij [tutaj](#).

W niedzielę po południu zasiadł nad laptopem, by przygotować plan akcji na następny tydzień. Nie robił tego od dłuższego czasu - zaprzestał pewnego dnia, gubiąc nagle wiarę w pożyteczność pszekształcania życia w harmonogram. Ponieważ ostatnio począł jednak tracić kontrolę nad mnożącymi się niczym karaluchy „rzeczami do załatwienia”, a szczególnie nad wizją swojej nawet niedalekiej przyszłości (czyli zdefiniowaniem czego właściwie chce), postanowił ponowić rutynę skrupulatniejszego organizowania doczesności.

Oprócz godzinowego rozkładu obowiązkowych zajęć na każdą dobę, dokument zawierał rubryczkę punktującą osobiste cele do osiągnięcia - mieszaninę dyrektyw „co zacząć” lub „z czym skończyć” - gwoli fizycznego, duchowego, a także finansowego remontu. Z przerażeniem zauważył, iż wszystkie skazy, zakwalifikowane parę miesięcy temu do usunięcia, wciąż trwały, znajdując w nim przytulne środowisko rozwojowe: oto spozierały na niego spode łba jak wierne psy na swego pana, skomlać o litość, o rezygnację z zamierzeń wyrzucenia ich na bruk z uwagi na człowiecze uprzedzenia. Przecież i tak powrócą pod drzwi, merdając wstydliwie spuszczone ogonkami, by wślizgnąć się do środka mimochodem, a potem obskoczyć i wylizać go radośnie na okazję reintegracji.

Wbijał tępo wzrok w otwarty na ekranie plik. Kursor migał zapraszająco, jakby puszczał oczko: „Co dzisiaj dodamy, bo nijak nie możemy niczego wymazać z listy?”.



Opadł na oparcie fotela z niewyraźną miną, spozjrzał przez okno na drzewa w ogrodzie...

Opatulone listkami gałązki kiwały się bezwiednie - raz szybciej, raz łagodniej - w nierównomiernym rytmie powiewów wiatru. Ta spontaniczność ruchów i pogłosów przyrody zawsze wpływała na niego uspakajająco, balsamicznie. Dlaczego? Dlaczego doznawał uczucia błogości obserwując oceaniczne fale, leżąc na wznak w lesie lub siedząc na kamieniu w górach, jednakże doświadczał stresów stawiając wykalkulowane - ponoć racjonalne - kroki? Czyżby człowiek był naturalnie przystosowany do funkcjonowania w przypadkowości, nie zaś w cywilizacyjnym porządku opartym na symetrii, schematach, grafikach, zakazach? Czyżby tylko naturalne bodźce środowiskowe - jakże nieprzewidywalne - potrafiły sterować energią ciała i myśli poprzez magiczną synchronizację z wewnętrznym kompasem ludzkim?



Pogubił się na moment... Tyle pytań w związku z trywialnym zadaniem ułożenia tygodniowej ramówki! Co mają liście czy morze wspólnego z kalendarzem mityngów bądź rejestrem ambicji?!

Zaraz, zaraz - gdzie utknął? Aha, rotrząsał mierne postępy w rehabilitacji fizyczno-mentalnej, czyli w pieleniu duszy z charakterologicznych chwastów i oczyszczania szlaku rozwojowego z zawalidróg pożerających czas, przez co zaniedbywał kultywację świeżych sadzonek - nowych misji, zrodzonych na łonie pragnienia - już wkopanych w grządki tabeli programu MS Excel. Rozpoczętego nie kontynuował i nie kończył, dopuszczając do uwiędnięcia obiecujących kiełków, natomiast kiedyś nabytego nie umiał zakończyć, zażarcie pielęgnując już rozrosłe zielska. Całość przedstawiała antytezę normalnej hodowli - efekt pracy ogrodnika opętanego psychozą uprawy pasożytniczej flory, który kompulsywnie, wbrew nagorętszym intencjom, płacząc nad własną ułomnością, powolnie rujnuje gospodarstwo.

Wiedział, że nie był odosobnioną ofiarą tak zwanej „słabej woli”. Nieubłagalne statystyki malują depresjonujące widoki na sukces w finalizacji powziętych zamierzeń.

- Jedynie 8% urealni noworoczne rezolucje.
- Mizerne 3% zapalonych, samozwańczych entuzjastów pióra napisze książkę.
- Nie więcej niż 5% nałogowców pozostanie członkami Anonimowych Alkoholików, Anonimowych Hazardzistów lub Anonimowych Narkomanów przez okres dłuższy niż rok.
- Około 5% żądnych gibkości, ewentualnie muskulatury, wytrzyma w *fitness clubie* ponad rok regularnie ćwicząc. Rachuba ta pomija obiboków (odwiedzających przybytek dla szpanu dwa razy w miesiącu, paradujących pomiędzy sztangami w drogich, markowych strojach sportowych i bardziej zajętych smartfonem aniżeli treningiem) oraz dorywczaków (mających sporadyczne napady wyrzutów sumienia, podczas których intensyfikują zaprawę przez jeden - może dwa - tygodnie w roku).
- Tylko 10% nowicjuszy w biznesie rozkręci firmę (nawet osiedlową kanciapę) na dobre.
- Circa 35% blogerów będzie wciąż aktywnie blogować po roku. Liczba ta spadnie do mniej niż 10% po trzech latach.

Zatem trudno skończyć raz przedsięwzięte...

Analogicznie, ciężko zakończyć coś już rozkręconego, lecz zgubnego bądź nieinratnego.

- Zaledwie 5% grubasów zrzuci wagę i zachowa względnie przyzwoitą (niekoniecznie szczupłą) sylwetkę, zaś wyczerpana dietami reszta odbije utracone kilogramy z namiastką, nagromadzając jeszcze więcej sadła. Niektóre dane sugerują większy odsetek pomyślnych wylinek z tłuszczowego kokona - aż

do 35%. Kompilacja wszelkich rezultatów końcowych doprowadza do wniosku, że poniżej 10% korpulentnych stanie się nieco smuklejszymi.

- Porachowanie trzeźwych alkoholików sprawia problemy, bowiem kuracjusze skrzętnie ukrywają nawroty nałogu, a poza tym tropienie ich po wyjściu z ośrodka odwykowego nie należy do łatwych. Generalnie przyjmuje się, że jeno 5% porzuci butelkę na zawsze.
- Niespełna 6% zwycięży w walce z paleniem tytoniu.
- Co dziwne, 65% sflaczałych, którzy stracili entuzjazm do systematycznej odnowy fizycznej, ciągnie członkostwo w *fitness clubach* przez lata, w ogóle tam nie zaglądając! Niedoszłe szprychy tudzież nieziszczeni kulturyści nie dają rady skasować poleceń zapłaty za słone abonamenty, biernie obserwując comiesięczny odpływ gotówki z konta. Dalsze 30% łasych na wymodelowanie uczęszcza do tych drogich sal gimnastycznych zbyt sporadycznie, by wydatek nazwać łebską inwestycją.
- Z olbrzymiej puli 60% nieusatsfakcjonowanych z wykonywanego zawodu, ratem 3% podejmie inną pracę. Słowem, aż 97% zawiedzionych nie odstąpi od wykonywania niepociągającej roboty, woląc z jakiegoś powodu tkwić w obojętności, monotonii, pasywności czy podobnych letargicznych stanach.

Wyniki badań naukowych zależą od wielu zmiennych (grupy wiekowej, kraju, rasy, długości obserwacji, rozrzutu monitorowanych wskaźników itd.), a także od wpływów bardziej subiektywnych (przez kogo, a przede wszystkim dla kogo, przeprowadzono doświadczenia lub ankiety - przystoi zwrócić uwagę na podmioty sponsorujące, często zakamuflowane). Pomimo inherentnych mankamentów statystyk oraz potencjalnej stronniczości poszukiwaczy arytmetycznych prawd, z wielu przeszperanych źródeł wyłania się jednak stała reguła dotycząca ludzi, którzy albo chcą coś dokończyć, albo wedle logiki powinni coś zakończyć: maksymalnie 10% podoła misji, z czego pewna część na jako tako - perspektywa zaiste parszywa, sugerująca przepelnienie globu ziemskiego obywatelami sfrustrowanymi, unieszczęśliwionymi

porażkami, zaplątanymi w sieci śmiesznych nawyków, wegetującymi na autopilotach. Ekstrapolując te dane na inne (mniej popularne, przeto nie zmierzone oficjalnie) aspekty życiowych wyborów bądź aspiracji można przypuszczać, że ułamki będą zbliżone: ilu podekscytowanych zbieraniem znaczków zostanie autentycznymi filatelistami?; ilu mieszkających w zagraconych mieszkaniach wywali zbędne bambetle?; ilu lamentujących na nudę urozmaici sobie dzień?; ilu ugrzęźnie przed telewizorem, otumaniona losami bohaterów mydlanych oper?

Pomyślał o ciekawym zbiegu okoliczności: otóż odsetek osób realizujących indywidualne cele jest podobny do odsetka przeróżnych nałogowców. Wszak 10% populacji to alkoholicy, 8% to narkomani, 3% to hazardziści, 11% to zakupoholicy, 7% to erotomani. Pewna hipoteza aż sama cisnęła się na usta: predyspozycja do uzależnienia się od szkodliwych substancji lub aktywności była równa predyspozycji do samospelnienia się, oscylując w granicach 3% - 10%. Inaczej to ujmując, ludzie równie żwawo popadają w fatalne, jak i korzystne nawyki, chociaż miażdżąca większość preferuje te pierwsze - ale dlaczego? Bo lubią? Bo tak jest i kropka? Bo jakieś tajemnicze moce spychają *homo sapiens* w przepaść odurzenia, maniactwa, odrętwienia?

Hmm... „Tajemnicze moce”, jak wyczytał, nie bywają przesadnie enigmatyczne, ponieważ kapitaliści zdają się dostrzegać skłonności klientów do destrukcyjnych uzależnień z równoległą absencją werwy do pielęgnacji pocziwych zamiłowań. Na bazie tej gnozy budują zresztą biznesplany.

- Właściele *fitness klubów* przyjmują od dziesięciu do dwudziestu razy więcej członków, niż pozwala na to pojemność i oprzyrządowanie ośrodka. Wiedzą, że ponad 90% początkowo ochoczych albo przestanie uczęszczać, albo będzie zaglądać od wielkiego dzwonu, utrzymując tym samym małą - w najbardziej optymistycznych założeniach dziesięcioprocentową - grupę prawdziwych pakerów.

- Producenci oraz dystrybutorzy napojów alkoholowych uzyskują ponad 60% dochodów z kieszeni pijaków (którzy pochłaniają dziesięciokrotnie więcej etanolu aniżeli przeciętniacy). Gdyby nagle wszyscy alkoholicy wytrzeźwieli na zawsze, interes wysechłby dla wielu sklepów, winnic, browarów, rozlewni, barów, destylarni itd. - bez opijusów, żuli i meneli stałby się nieopłacalny.
- Wiele firm planujących gry komputerowe zatrudnia (to nie żart) psychiatrów w roli doradców. Zadanie „doktorów od głowy” polega na douczaniu informatyków o wizualnych bądź wyzwalanych manualnie elementach programu, które przyspieszą ukształtowanie obsesji wśród graczy. Szacunkowo 8% młodzieży w wieku od ośmiu do osiemnastu lat nałogowo klika przyciskami konsoli, myszki lub smartfona, przeczesując wirtualne zakamarki, namierzając wirtualne skarby, mordując wirtualnych wrogów, akumulując wirtualne trofea, zdobywając wirtualną sławę oraz (co najważniejsze) dokupując wirtualne rozszerzenia. Warto zainwestować parę tysięcy w psychoanalitka, podszeptującego co i jak, aby wprowadzić w obłąd miliony, skasować fortunę, po czym osiąść na wcale niewirtualnej posesji, z dala od ciżby zatopionej w cybernetycznych odmętach.

Coż, nie czas, a wiedza to pieniądz... Wyglądało na to, że przedsiębiorcy albo specjalnie wymuszali negatywne w skutkach zachowania, albo wyzyskiwali okazje stworzone przez szerszej pojęty, oparty na błędnych koncepcjach, system. Tak czy siak, nie wierzył w naturalne tendencje człowieka do samozniszczenia - był raczej przekonany o zespole sztucznych czynników, tłamszących wspaniałe talenty poprzez ujeżdżanie ludzkich słabości, aczkolwiek ten proces trwał nie ze względu na zмовę zakonspirowanych elit, ale wskutek powszechnej, niezachwianej ufności w poprawność już ustalonych schematów życia.

Podsumowując, postulował fundamentalną aberrację funkcjonowania współczesnych społeczeństw, opartą na paradygmatach niezgodnych z ewolucyjnym posłaniem zaawansowanego gatunku *homo sapiens*. Pra-

pra-przodkowie - mając jak najlepsze zamiary - sknócili pierwotnie organizację rozrastających się komun, zapobiegając - zupełnie niechcący - płynnej koegzystencji istot rozumnych. Kolejne generacje, polegając bez szemrania na „historycznej spuściźnie”, czyli na „doświadczeniu przekazanym z pokolenia na pokolenie”, dodawały świeże (korekcyjne) moduły do chybionej z zarania konstrukcji mniemając, że kroczą ku zacności, sprawiedliwości, demokracji i dobrobytowi, ale *de facto* wciskając się głębiej i głębiej w ślepy zaułek, w którym marne 10% skłębionych mogło znośnie pooddychać.

Bzdury? Bajędy? Halucynacje biadolącego nieudacznika, zwałającego winy za swą impotencję na jaskiniowców, starożytnych Rzymian, ojców oświecenia, francuskich rewolucjonistów, innych reformatorów? Absolutnie nie! Nic nie spotęguje urodzaju, kiedy sad rośnie na niedopowiednim gruncie, a żaden ekspert nie ma zielonego pojęcia o priorytetowej roli żyzności podłoża. Przycinanie pędów, podlewanie, spryskiwanie, pielnie, chuchanie na pączki kwiatowe, sadzenie gęściej, sadzenie we wzorki, stawianie wiatrochronów, naświetlanie lampami fluorescencyjnymi, krzyczenie na pnie tudzież zaklinanie konarów nie wzmogą wydajności jabłoni bądź grusz: jeno 10% owoców nada się do spożycia, zaś 90% zwiędnie w szczątkowej fazie dojrzewania. Paradoksalnie, sadownik, konsumenci i agrotechnicy będą żyli w przeświadczeniu o normalności sytuacji (podsycanej przez urzędową propagandę sukcesu), podczas gdy plony zwielokrotniłaby dziesięciokrotnie relokacja plantacji na nasyconą elektrolitami, obfitującą w substancje organiczne, pulchną glebę.

Prostackie porównanie? Cóż, kiedyś widziano w Słońcu boga, indoktrynowano o płaskości ziemi, hołdowano nadprzyrodzonym mocom króli. O ile wynalazki i odkrycia naukowe umasowiły edukację, obaliły wiele asercji, usprawniły logistykę, oddaliły datę zgonu - ogólnie podniosły komfort doczesnej wędrówki - o tyle nie spowodowały jeszcze zasadniczej transformacji ku efektywnemu wykorzystaniu przeogromnych zasobów zdolności, zduszonych w miliardach pogubionych śmertelników przez niejako odgórnie narzucony pasywizm.

Statystyki plus zwykłe obserwacje bezdyskusyjnie potwierdzały nierówną wojnę podświadomych ludzkich tęsknot z potwornym pociągiem do kretyńskich repetycji, używek, uników i całego kolażu niewyeksplikowanych manier, które przeczyły zdrowemu rozsądkowi. Przecież żaden z tych uzusów nie był wrodzony, lecz nabyty - nie natknął się nigdy na brzdąców w pieluszkach, pokrzykujących nerwowo: „Łojciec, kopsnij szluga, bo płuco świrzbi!”. Dzieci nie przejawiają genetycznej inklinacji do samozagłady, ale z pewnością kopiują starych, kuja z programowych podręczników, podpatrują dorosłych ziomów, są bombardowane trendami - bezustannie nasiągają ułomnym otoczeniem, oferującym samospelnienie dla (w najoptimistyczniejszych scenariuszach) 10% koleżanek i kolegów. Na resztę czeka przyszłość - delikatnie to ujmując - refleksyjna, przepełniona dociekaniem kwintesencji istnienia oraz momentami zdumienia zmieszanego z szokiem. Mówiąc dosadniej, 90% grona obudzi się na planie rodem z dystopicznego filmu, wessana wir pogoni za czymś nieuchwytnym.

Prawie każdy łaknie jakiejś konstruktywnej zmiany: przepędzenia mary nałogu, zoptymalizowania gospodarki czasem, doznania jurności, przygruchania partnera, wygenerowania asertywności, zwerbowania przyjaciół, otworzenia prywatnej działalności itd. By zaspokoić potrzeby tej rozgrymaszonej armii, na ratunek śpieszą wskrzesiciele ukontentowania: trenerzy, autorzy samouczków, psychoterapeuci, grupy samopomocy, ośrodki odwykowe, warsztaty, hipnotyzerzy, dietetycy, pracownicy socjalni, księża itd. Zarówno instruktorzy, jak i narzekacze podejmują syzyfowy wysiłek naprawienia nienaprawialnego, bowiem wszyscy są ofiarami spaczzonego od podstaw systemu, który zapewnia błogostan dla maksimum 10% partycypantów.

Dumał nad tym groteskowym (poniekąd makabrycznym) dramatem na arenie obecnego *status quo*... Scenariusz napisano źle, a tylko mała frakcja aktorów kojarzyła swoje role, wobec czego reżyserzy ponosili nieustanną klęskę, niezależnie od jakości aranżacji, nagłośnienia, kostiumów czy edycji dialogów - spektakl zawczasu był skazany na klępkę. Jedyne środki zaradcze (by przemordować się przez kolejną

odslone) stanowiły narzędzia kontroli: przepisy, musztra, groźby, kary dla bełkoczących, nagrody dla recytatorów. Oczywiście, po takiej tresurze nie pozostaje nic innego, tylko sięgnąć po konsolę PlayStation, pilota TV, kieliszek, strzykawkę, żeton w kasynie etc., po czym dać nura w fantasmagorię.

Natura wyposażyła człowieka w korę szarą po to, by się wyniósł ponad zwierzęce odruchy. Naczelną jej funkcją jest wygaszenie impulsywnych reakcji centralnego układu nerwowego, mających źródło w prymitywnym obszarze mózgu zwanym (łopatologicznie) „gadzim”. Niestety, ludzie zaprzęgli dar intelektu do złego wozu: zamiast ujarzmić pozyskaną potęgę (siebie samych), zaczęli ujarzmić przyrodę.

Można powiedzieć, że ewolucja sprezentowała pradziadkom zabawkę o niespotykanej dotąd sile, mianowicie abstrakcyjne myślenie, ale nie w instrukcję obsługi tego wyjątkowego gadżetu, co jest analogicznym do wciśnięcia bobaskowi karabinu maszynowego w dłoń. W konsekwencji ludzie poszli po najmniejszej linii oporu i utożsamili swą przewagę z koniecznością odizolowania się od praw kosmosu, jakby tworzyli kastę bogów, biegłych w formułowaniu własnych praw, głównie ku nieustannemu zwiększaniu komfortu bytowania. Kombinowali, uzupełniali, doszlifowywali, rewaloryzowali i w rezultacie - na przekór założeniom natury - zmajstrowali matrycę, która właśnie podtrzymuje pierwotne instynkty. Jest wszystkim tak wygodnie, iż 90% obdarzonych biologicznym cudem, jakim jest imaginacja, krąży skołowana, okazjonalnie dokonując nieskładnych i niewiele obiecujących prób wykaraskania się z jałowizny czy nałogów, czyli wyswobodzenia się spod hegemonii czymś rozbudzonego „gadziego mózgu”.

Nie sposób wszak odgadnąć swego przeznaczenia, gdy indywidualna wartość jest oceniana na szablonie sztywnych odnośników, a zwłaszcza podług zamożności - pozycja w hierarchii społecznej staje się wówczas celem samym w sobie, uświęcającym (prowokującym) odrzucenie (nie zauważenie) autentycznych smykałek i marzeń. Szkoła wzmacnia to podejście, przygotowując do wspinaczki po drabinie kariery: ćwicząc

zręczność przeskakowania ze szczebla na szczebel; zaszczepiając pazerność na przykucnięcie na szczeblach blisko szczytu drabiny; trenując zbijanie drabiny do kupy (stercząc na jakimkolwiek szczeblu). Suplementarne idealizowanie drabiny następuje w rodzinie, *mass mediach* oraz w towarzystwie znajomych.

Ranga drabiny urasta do nadrzędnych, afirmując tym samym wpajanie wszystkim uczniom wiedzy o najmniejszych szczegółach drabiny, stąd pakiet przedmiotów obowiązkowych. Środowiskowo-edukacyjny drabinowy lobbying rozprasza wrodzonych humanistów matematyką, zapalonych chemików malarstwem, w duszy artystów geografiami itd., sankcjonując dekoncentrację jako niewinną przygodę i metodycznie ignorując powołanie, a promując wzorowych wyznawców drabiniastego fetysza. Naczelną przynętą przy obraniu „kierunków” (już sprecyzowanych) jest kasa, natomiast dochodowość zawodu zależy od stanowiska na drabinie. Najlepszymi zarobkami cieszą się jednak bezkompromisowi szefowie drabinowego kompleksu.

W uszach rozbrzmiały mu okrzyki oburzenia, szyderstw, oskarżeń o herezje, parsknięcie i dybań - kanonady przerywanej stukotem palców w czoła. Pomimo tej jakże przewidywalnej dezaprobaty jego poglądów, nijak nie poparłby systemu o rozbębnionej globalnie sławie niesprawiedliwego, wynagradzającego 9% populacji znośnym majątkiem, 0,1% fortuną, a 0,01% krociem tak nieprzebrany, że w kolosalności aż karykaturalnym. Obrońcy wspomnianych proporcji upadli chyba na łeb, ale najprawdopodobniej cierpią na objawy uboczne zakorzenionej wiary w prawidłowość dewiacyjnego „stanu rzeczy”.

Furiacki nacisk drabiniasto-pięiężnego kultu ingeruje w osobistą selekcję zajęcia bądź profesji do granic absurdalności, ponieważ ponad 90% wyląduje na bezkresnych pustkowiach mentalnych, gdzie wyłącznie przysposobienie do dystrakcji, wpojone w ramach zinstytucjonalizowanej dydaktyki, przynosi wytchnienie, najczęściej w formie zrazu „nieszkodliwego” nałogu - inaczej czyha na delikwenta grobowa posepność. Orędowanie tym udokumentowanym, żalonym perspektywom udowadnia wyparcie przytomności umysłu przez utarte

credo, a wynika z nieświadomości istnienia jakiegoś prawidła naturalnego, wytyczającego awangardowy, przełomowy, stuprocentowo stabilny kurs rozwojowy dla sponiewieranych tułaczką po bezdrożach ludzi.



Po prostu, nikt nie wie o banalnej metodzie zmiany systemu z katorżniczego na bajkowy. Niewiedza ogranicza postrzeganie, zrzucając kotwice zabobonów, a propozycja alternatywy wznosi zapórę, scementowaną lękiem o utratę ciepłej posadki, o zanik autorytetu, o wyjście na błazna, o gruchnięcie z piedestału władzy, o unicestwienie religijnych dogmatów, o wyparowanie profitów. W epokach przed Chrystusem, gdy termin „planeta” jeszcze nie figurował w słowniku, zaś do prawa powszechnego ciężenia Newtona było daleko, nadmienienie sugestii o krągłości ziemi rozbawiłoby słuchaczy do rozpuku: „A toś wałnął, jak łysy warkoczem o skałę! Toż ci po drugiej stronie pospadaliby niczym kamienie z urwiska! No, dalej, przespaceruj się po sklepieniu naszej jaskini, jasnowidzu - jak łupniesz w dół i rozbijesz tępą czachę, to uleczysz debilizm, ty beczelny kłamczuchu!

Ha ha ha!” W mniej odległych wiekach kapłani spaliliby dowcipnisia publicznie na stosie za rozsiewanie podobnych *fake news*. Nowość w postrzeganiu rzeczywistości musi być wytłumaczona, potem bezspornie uwidoczniiona, na końcu wdrożona w życie (by przyzwyczaić obywateli do innowacji) - akcja wymagająca cierpliwości, albowiem konserwatyści stanowią armię o przepastnych brzuchach i wielkich apetytach na komenderowanie motłochem, więc bez strzeżenia klasycznych mechanizmów działania wyginą jak muchy. Dla przykładu, dzieło Mikołaja Kopernika „O obrotach ciał niebieskich” (obalające kościelną doktrynę geocentryczną na rzecz heliocentrycznej) czekało dwieście lat, gromadząc kurz na watykańskich półkach, zanim reżym katolicki udzielił stosownej autoryzacji na druk, by kolejni papieże nie wyszli na bęcwałów zbyt szybko.

Wierzył, że inteligencja nie skapnęła na człowieka ot tak sobie, lecz w ściśle określonym dla wszechświata celu, którego nikt jeszcze nie ogarnął. Kardynalnym posłannictwem inteligencji jest rozgrzyzenie dylematu, po co się inteligencję w ogóle ma. Dlaczego niby powstała istota rozumna, skoro mędrkowanie nie wygląda atrybut potrzebny do przeżycia? Spryt, ogień i broń ostra wystarczą, aby zdominować królestwo zwierząt, jednakże myślenie wyższe (dociekliwość, kontemplacja, studiowanie, rozpamiętywanie itd.) wręcz zawraca gitarę, rozdrażnia, w niczym konkretnym nie pomaga, ewidentnie przeszkadza.

Pozornie przeszkadza... Ewolucja nie bez kozery udoskonaliła mózg w fizjologiczne i biochemiczne procesy, katalizujące roztrząsanie metafizycznych zagwozdek - ewolucja właśnie chce przybliżyć odpowiedzi na złudnie nierozstrzygalne pytania: „Po co żyję?”; „Jaki jest sens tego wszystkiego?”; „Gdzie jest moje miejsce?”. Ewolucja nalega, aby człowiek poznał jej sekrety, aż do przeniknięcia praw sekwencji naturalnych zjawisk - do stopnia zgłębienia własnego... przeznaczenia. Nie ma innego motywu, dla którego siły stwórcze pozwoliłyby jakimś dwunożnym ssakom na przyjemność medytacji.

Filozofia da natchnienie, logika uprzedzie aksjomat, obserwacje wyłonią przedmiot analizy, a nauki ściśle udostępnią rozwiązanie

zagadki racji bytu - w typowym algorytmicznym stylu, sznurami wpierw skomplikowanych równań, sukcesywnie topniejących w krótsze szeregi działań, doprowadzających do soczystego, zwięzłego wzoru, *i.e.* reguły zawiadującej dowolną serią epizodów zmanifestowanych we wszechświecie. Ani przestrzeń, ani czas nie ograniczą trafności równania, eliminującego przypadkowość raz na zawsze ze sfery wyobraźni. Spece od grafiki komputerowej zaprezentują mnogość audiowizualnych i holograficznych modeli, by przystępnie uplastyczyć przepyszny fenomen czwartego wymiaru, czyli przewidywalności jakiegokolwiek ciągu wypadków. Przysłowiowy „palec boży” znajdzie eksplikację w zaiste niebiańskiej, aczkolwiek wykoncypowanej przez adamowe plemię, zasadzie.

Ludzkość przebrnie przez emocjonalny huragan zaprzeczeń, gniewu, negocjacji i goryczy, zanim zaakceptuje porażkę poprzedniej, opartej o niewiadomą jutra realności. Telewizja, radio i internet popękają w szwach od newsów, dyskusji, artykułów, komentarzy, tweetów, postów itd. dotyczących #4thdimension, zaś placówki dydaktyczne, świątynie oraz pozostałe miejsca publicznych zgromadzeń zostaną zalane spanikowanymi tłumami, domagającymi się drobiazgowych informacji na temat „przepowiadania przyszłości”.

Biegli z różnych dziedzin zainicjują serię wykładów, oswajających zdeorientowane masy z brzemieniem w dalekosiężne skutki odkryciem, a przy okazji obalających naiwne konkluzje: nie chodzi o wróżenie z kart czy kryształowej kuli, tylko o dostosowanie cywilizacyjnej ekspansji do wszechobecnego, dotychczas nieznanego przepisu, podług którego dokonuje się akt kreacji czegokolwiek we wszechświecie, na dowolnym poziomie struktur martwych i żywych (atomu, komórki, organizmu, galaktyki). Nieprzestrzeganie tegoż pryncypium wiedzie do nieuchronnego fiaska (zwyrodnienia, degeneracji, wymarcia, anihilacji), zaś przestrzeganie umożliwia „nabranie wiatru uniwersum w żagle”, zatem skomponowanie takiego systemu, który automatycznie wyeksponuje i wyzwoli najoptymalniejszą predylekcję każdego człowieka.

Słowem, zniknie incydentalność wyborów - wszyscy ujrzą swe i innych przeznaczenie jak na dłoni. Oprócz inherentnego, od dawien dawna posiadanego wycucia złego i dobrego, wykrystalizuje się dodatkowo antycypacja celowego i daremnego: nikt nie zacznie nic, czego nie potrafiłby skończyć. Wątpliwości co do kompetencji czy intencji bliźniego także przejdą do historii, eliminując tym samym sens rywalizacji, egzaminów, rekrutacji, kumoterstwa, łapówkarstwa itd. Upadną orientacje polityczne, czyniąc z demokracji, komunizmu, socjalizmu, kapitalizmu, liberalizmu plus reszty ideologicznych wypocin nic nie warte banialuki - jak filozoficzna doktryna może współzawodniczyć z prawem fizyki? Każdy polityk w końcu znajdzie prawdziwe zajęcie, adekwatne do wykrytej w sobie zdolności.

Samorzutna, akuratna detekcja predestynacji wyrobi w każdym uzależnienie od praktykowania osobistego talentu, wypierając szkodliwe dystrakcje poza horyzonty jaźni. W nowej sferze interpretacji świata zabraknie miejsca na rozkojarzenie - słodkość pożytecznych poczynań odurzy ludzi z impetem jednego z zaprzeszłych, wstydliwych nawyków, o których z nostalgią powspominają dziadki i babcie, pokazując wnuczkom zdjęcia popielniczek, półlitrówek, hamburgerów, czipsów, kart kredytowych, prochów, konsol do gier, żywności w plastikowych opakowaniach i innych akcesoriów, niezbędnych do osiągnięcia stanu zbydłęcia.

Gdy wszyscy zaczną robić nałogowo dokładnie to, co dyktują indywidualne aspiracje, nastąpi akceleracja postępu zestrojona z życzeniami natury. Fanatyczne uskutecznianie najprawdziwszych pragnień wypełni posady nie amatorami materialnego zysku, a bezkonkurencyjnymi fachowcami. W obecnym systemie mniej niż 10% zapalczywych coś kończy, ponieważ kusi ich szmal, ewentualnie szpan - skłonności, smykałki, marzenia, pomysły etc. nie zmotywują do akcji. Miedziaki czy pozerstwo są, niestety, dopingiem o niskiej, kilkuprocentowej wydajności - są zaledwie pretekstem, nie *sensu stricto* motorem.

Tylko trzeba znać tę regułę, regenerującą strupieszale w wyziewach konsumeryzmu pasje i zastępującą negatywne w skutkach uzależnienia tymi pozytywnymi, by odwrócić statystyki do góry nogami... Cóż, wbijanie rozsądku w czerepy jeszcze nigdy nie spowodowało poważniejszych korekcji ludzkiej niefrasobliwości - trzeba odkryć to prawo, wyłuszczyć je, zobrazować, przekonać, zaaplikować.

Na razie natura podszeptuje, iż jej procesy nie są zdane na rzut kostki. Różyczki głupiego kalafiora układają się spiralnie podług ciągu Fibonacciego, nie zaś w kwadraty, trójkąty, okręgi czy pokrewne kanciasto-koliste, super-symetryczne, rażące oczy konfiguracje. Stosunki w przyrodzie też nie przypominają hierarchicznych, tylko horyzontalne - poszczególne elementy układanki życia dzierżą ekwiwalentną odpowiedzialność za synergię, wzrost plus adaptację, z wyjątkiem mutantów *homo sapiens*, trzymających resztę gatunków za ryje i siebie nawzajem za mordy.

Kiedyś ktoś udowodni, że im bardziej człowiek odstaje od algorytmów dyrygujących kreacją w kosmosie, tym bardziej się unicestwia: co rozbabrze tego nie skończy, bowiem nie potrafi zakończyć tego, co go w międzyczasie rozbabra.

Patrzył na gałązki drzewa za oknem, wabiących oko plejadą ruchów: drgały, podskakiwały, bujały się... Każde kiwnięcie - mniej lub bardziej zamaszyste, w prawo bądź w lewo, do góry bądź w dół - było pozornie niespodziewane, lecz on każdego z niecierpliwością oczekiwał i, co dziwniejsze, każde niejako przewidywał, jakby ta sama fala niosła i niego, i listki, jakby na tej samej fali się kołysał.



Ukojony tą równowagą perferkcyjnego współgrania, odnajdywał się...

Wyciągnął dłoń w kierunku ogrodu - jego przeznaczenie gdzieś tam się kryło, zakodowane w wibracjach natury...



Adam Ciesielski (ur. 1964) jest lekarzem, pracującym obecnie w Kapsztadzie, RPA. Egzystencja w izolacji od Polski nauczyła go ufaniu wewnętrznym instynktom oraz wiary w siebie. Dzieli się swoimi emigracyjnymi wrażeniami, doświadczeniami z tytułu wychowania syna poza granicami kraju, przygodami z lat młodości i swoistą filozofią życia na witrynie „Nierówna walka z naturą” - GrzesioPolak.com - gdzie można poczytać satyryczno-filozoficzne teksty jego autorstwa.